

## **BIAŁOSTOCKIE REMINISCENCJE WOJENNE**

### **LATO – JESIEŃ 1944**

Wiosenna ofensywa wojsk II Frontu Białoruskiego doprowadziła latem 1944 roku do szybkiego zajęcia Białostoczczyzny i osiągnięcia linii Wisły. W tym czasie znajdowałem się wraz z matką i siostrą w miejscowości Burniewo u pp Siedzieniewskich, którzy nas przygarnęli. Miejscowość ta leżała na uboczu, z dala od szlaków komunikacyjnych i tam postanowiliśmy przeczekać przejście frontu. Wybór był szczęśliwy. Front przetoczył się prawie niedostrzegalnie. Nowe władze sowieckie natychmiast ogłosiły mobilizację mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat (o ile dobrze pamiętam). Okolice, w których wówczas przebywałem, zamieszkałe były głównie przez Polaków, którzy nie zamierzali podporządkować się sowieckim zarządzeniom z różnych powodów. Nadchodził okres żniw i trzeba było zebrać zboże, wojna zbliżała się ku końcowi, a wstępowanie do Armii Czerwonej i składanie przysięgi na wierność „Sowietskemu Sojuzowi” było sprzeczne z duchem Polaków. Doszły wieści, że na ziemi polskiej wkroczyła ze wschodu także Armia Polska pod dowództwem legionowego (jeszcze) generała, jako sojusznik (obok zachodnich aliantów) Armii Czerwonej. Natychmiast po-

stanowiłem, pomimo niepełnoletności, wstąpić ochotniczo do polskiego wojska. Tymczasem sowietci otaczali o świcie kolejne miejscowości, ignorując zarządzenia mobilizacyjne, wyłapując wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni (nie zważając na wiek), pędzili ich pod konwojem na stacje kolejowe, ładowali do wagonów i wieźli na wschód. Niektórym udało się zmylić czujność konwojentów i zbiec. Ci uniknęli wcielenia do Armii Czerwonej (na razie). Szybko przedostałem się do Grodna, gdzie dowiedziałem się, że w Białymstoku ma formować się polskie wojsko. Postanowiłem wybrać się tam wraz z Mundkiem Kleczkowskim – moim przedwojennym szkolnym kolegą i z lat okupacji, którego rodzice zacni udzielali mi nieraz pomocy i schronienia. Dołączył do nas jeszcze jeden kolega z Grodna, którego uprzednio nie znałem i nazwiska nie pamiętam. Po drodze do Białegostoku wstąpiliśmy jeszcze do Burniewa aby pożegnać matkę i siostrę. Matka nie sprzeciwiała się mojej decyzji. Wiedziała, że i tak zrealizuję swój zamiar. Zresztą, rozumiała i doceniała moje intencje. Wychowywała mnie przecież w duchu patriotyzmu, będąc prawdziwą

Matką – Polką. Udzieliła mi swego błogosławieństwa. Rozstaliśmy się bez łez i zbędnych słów. Wyruszyłem z dwoma kolegami na spotkanie nowej „Wielkiej Przygody”. Wiedziałem, że mój ojciec tak samo wstąpił ochotniczo w wieku 17 lat do wojska w 1918 roku, aby walczyć o niepodległość Ojczyzny. Była to więc nie tylko przygoda, ale powinność i patriotyczny obowiązek.

Wędrowaliśmy przez teren niedawnych walk. W Świsłoczy kołysały się w wodzie, zaplątane w przybrzeżnych szuwarach, trupy partyzantów białoruskich, których brygada atakowała stanowiska Niemców w Górach Mogiłańskich. Łąka zryta była wybuchami pocisków moździerzowych. Przeszliśmy szczęśliwie przez teren zaminowany przez Niemców w pobliżu Poczobut, o czym nie wiedzieliśmy wówczas. Po uzyskaniu informacji od miejscowej ludności przekradaliśmy się „cienkim świtem” przez sowiecki kordon (już obstawiano nowo utworzoną granicę i strzelano nawet bez ostrzeżenia). Z Krynek wojskową ciężarówką dojechaliśmy bez przeszkód do Białegostoku. Znaleźliśmy punkt werbunkowy do Wojska Polskiego, gdzie przyjęto nas życzliwie (ale tylko mnie i Mundka, bo drugi kolega w ostatniej chwili zrezygnował). Pomimo, że nie podlegaliśmy jeszcze jako 17-latkowie służbie wojskowej, da-

no nam skierowanie do 6 Batalionu Zapasowego, który stacjonował w Dojlidach, tuż za miastem. Dowódcą jednostki (poczta polowa Nr 93571) był kpt. Kirpsza, szefem sztabu por. Uszomirski. Przydzielono mnie z Mundkiem do I kompanii strzeleckiej, którą dowodził elegancki chorąży Hollenberg. Naszym bezpośrednim przełożonym był sierżant, którego nazwaliśmy „Gadzinka” (nazwiska nie pamiętam), przedwojenny zawodowy podoficer (chyba z Wilna), który potrafił robić z rekrutów żołnierzy. Był dobrym człowiekiem i miał do nas podejście ojcowskie. Ćwiczyliśmy głównie musztrę. Ochotników było niewiele i batalion był nieliczny. Na razie byliśmy wszyscy w cywilnych ubraniach i bez broni. W batalionie początkowo był tylko jeden karabin dla wartownika stojącego przy budynku, w którym mieściło się dowództwo batalionu (drewniany dom wiejski). Kwaterowaliśmy we wsi Dojlidy Górne, gdzie nocowaliśmy w stodołach na słomie lub sianie. Na razie było ciepło. Karmiono nas nędznie. Zaczynaliśmy odczuwać głód. Pewna starsza, samotna kobieta, mieszkająca w biednym domku, wiedziała, że jesteśmy niedożywieni. Zapraszała nieraz mnie z Mundkiem na świeżo ugotowane, postne ziemniaki z solą. Jedliśmy je łapczywie jak najlepsze smakołyki. Na początku lat 60 pojechałem tam motocyklem.

Domek odnalazłem, ale poczciwej kobiety nie. Mieszkali tam już inni ludzie i powiedzieli, że babcia dawno nie żyje. Minęło już ponad pół wieku, a ja nadal wspominam jej dobre, matczyne serce.

Codziennie podczas porannego apelu na komendę: „do modlitwy!” śpiewaliśmy „Kiedy ranne wstają zorze”. Także podczas wieczornego apelu i modlitwy śpiewaliśmy „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

Użyto nas do kopania głębokich okopów strzeleckich i innych umocnień ziemnych, pod okiem sowieckich inżynierów, na przedpolach Białegostoku. Front się ustabilizował niedaleko na północ od miasta, na rzece Biebrzy i widocznie istniało niebezpieczeństwo przeciwwuderzenia niemieckiego. W pobliżu naszego miejsca postoju znajdowało się duże i ruchliwe lotnisko wojskowe. Często startowały i lądowały tam lekkie samoloty. Aktywność lotnictwa niemieckiego była słaba. Czasami pojawiał się na dużej wysokości niemiecki samolot zwiadowczy odpędzany gęstym ogniem sowieckiej artylerii przeciwlotniczej.

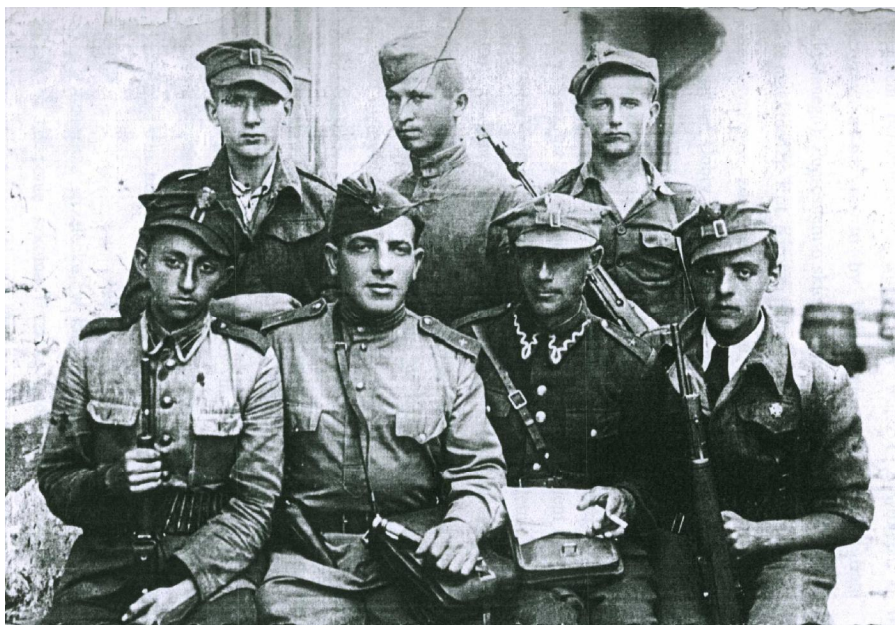
Dużym wydarzeniem było dołączenie do nas znacznego oddziału leśnego partyzanckiego Armii Krajowej, który przebił się z bronią w rękę z rejonu Puszczy Augustowskiej przez front na Biebrzy. Ponieśli przy tym straty, byli wśród nich ranni, ale mimo to wyglądali impo-

nująco. Oczywiście sowieci zaraz ich rozbroili i dokooptowali na razie do nas. Akurat skręciłem nogę w kostce i pomocy medycznej udzieliła mi piękna blond-dziewczyna, sanitariuszka leśnego oddziału. Bandażowała mi stopę, a ja wpatrzony w nią byłem jak w anioła. Szybko odłączono ich od nas i zakwaterowano podobno w pobliskim lesie, tworząc z nich 5 Batalion Zapasowy. Wkrótce jednak słuch o nich zaginął (?).

Postanowiono nas także przenieść do pobliskiego lasu. Zatrudniono mnie przy przygotowywaniu terenu w lesie, na którym montowano ponemieckie drewniane baraki przywiezione z miasta. Szybko postawiono kilka baraków, wstawiono do nich piętrowe łóżka drewniane i zaczęto nas w nich koszarować. Zdobyto sienniki, wypełniliśmy je słomą, a zamiast koców otrzymaliśmy bardzo duże, grube i mocne papierowe worki. Noce stały się już chłodne i było w nich ciepło. Okazało się, że służyły one Niemcom do pakowania zwłok swoich poległych żołnierzy i transportowania w nich do Reichu. Pobitem się o coś z Mundkiem i zostałem ukarany aresztem. Była to wykopana w piaszczystej glebie głęboka jama, do której musiałem wskoczyć. Jama przykryta była gałęziami i stał przy niej wartownik. Dookoła baraków wytworzono przesiekę leśną i wystawiono poste-

runki. Powstała wartownia i otrzymaliśmy trochę broni. Umundurowanie zdobyliśmy częściowo w Grodnie. Był tam niemiecki magazyn wypełniony angielskimi bat-

Kleczkowski i ja. Wykorzystując pobyt w Grodnie odwiedziłem stryjenkę Jadwigę Ursyn Niemcewiczową. Samotna, po stracie jedyne- go syna Julka, mieszkała u obcych



*Siedzą od prawej: Mundek Kleczkowski, oficer WP, starszyna – Gruzin, Tadek Zawistowski. Stoją od prawej: Witek U. Niemcewicz, szofer – Rosjanin, NN – ochotnik z Grodna*

tle-dresami, które nam sowievi przekazali. Otrzymaliśmy z pobliskiego lotniska dużą amerykańską ciężarówkę z kierowcą do przetransportowania sortów mundurowych. Do Grodna prócz młodego Rosjanina – szofera i starszyny Gruzina – z personelu lotniska pojechali: oficer z naszego batalionu, Tadek Zawistowski, Mundek

ludzi na ulicy Horodniczańskiej. Była to starsza, bardzo mądra, dobra i kulturalna osoba. Uczęszczałem do niej w latach 1937 – 38 na lekcje gry na fortepianie oraz języka niemieckiego. Ujrawszy mnie w rogatywce z orzelkiem wzruszyła się bardzo. To było moje ostatnie spotkanie z kochaną stryjenką. Załadowaliśmy ciężarówkę polowymi

mundurami angielskimi (battle-dress) i skorzystaliśmy z niepowtarzalnej, ostatniej okazji. Zrobiliśmy wspólną, pamiątkową fotografię grupową u p. Aneryka. Szczęśliwie zachowała się i dołączyłem ją do niniejszego wspomnienia. Na odwrocie fotografii widnieje pieczętka o następującej treści:

„Polski Zakład Fotograficzny  
Dominika Aneryka

Grodno, ul. Brygidzka 2 d. Kościelny”

Spotkaliśmy w Grodnie kilku kolegów, którzy chcieli abyśmy ich przemycili do Białegostoku przez strzeżoną już granicę. Woleli wstąpić do naszego wojska niż być wcielonymi do „Krasnoj Armii” i zmuszonymi do składania przysięgi na wierność sowietom. Byli też wśród nich „spaleni” działalnością w AK i groziła im zsyłka na Sybir lub długoletnie więzienie. Doszliśmy łatwo do porozumienia ze starszną i szoferem (obaj krasnoarmiejcy), którzy byli nam przychylni i pomogli ukryć kilku chłopców w ciężarówce pod stosami sortów mundurowych. Przeszmuglowaliśmy ich bez trudu przez kordon graniczny w Kuźnicy, bo zawartości ciężarówki nie kontrolowano. Wkrótce pojechano ponownie po resztę umundurowania, ale ja już w tej wyprawie nie brałem udziału. Pojechał Mundek, któremu dałem list do matki. Znowu udało się przemycić kilku naszych chłopców

przez granicę. Wracając zbiegli z drogi i zajechali do Burniewa, aby przekazać ode mnie wiadomość matce. Przyjechali wieczorem, jak już było ciemno. Wzbudzili sensację w całej okolicy. Wojsko polskie przyjechało! Opowiadała mi matka, że ludzie byli bardzo wzruszeni widząc polskich żołnierzy i gościli ich serdecznie. Nazajutrz władze sowieckie przeprowadzały dochodzenie, cóż to za polskie wojsko było w nocy? Mundek przywiózł z tej wyprawy dużo wspaniałej „wałówki” i mogliśmy najeść się do syta.

W międzyczasie otrzymaliśmy wszyscy szczepionkę „Penta” (przeciwko durowi, paradyrom, czerwonce i tężcowi). Szczepiono w okolicę międzyłopatkową. Chyba u wszystkich wystąpił odczyn poszczepienny w postaci gorączki i ogólnego złego samopoczucia. Ale to przeszło i byliśmy uodpornieni!

Trafiłem raz na odpowiedni moment podczas pracy przy montażu baraków do prywatnej rozmowy z naszym dowódcą batalionu. Powiedziałem, że wstąpiłem ochotniczo do wojska aby walczyć z wrogiem o wyzwolenie Ojczyzny, a nie po to by być żołnierzem „Stroj-Batu” (batalionu budowlanego). Poprosiłem o skierowanie na front. Przyłączyli się do mej prośby także inni koledzy. Kpt. Kirpsza potraktował to z ojcowską dobrocią. „Zdążycie jeszcze synkowie, zdążycie powalczyć. Przyjdzie i na was

czas” – powiedział. Święte słowa! Dobry to był człowiek, nasz kapitan. Ostudził nasz zapał „rwania się do wojaczki”.

Nadszedł czas na umundurowanie. Odbyło się to nad Stawami Dojlidzkimi. Po ostrzyżeniu i po kąpieli „na golasa” w stawie musieliśmy pożegnać się już z dotychczasowym cywilnym odzieniem i wdziwać na siebie „sorty mundurowe”. Bieliznę wydano nam letnią i letnie spodnie, owijacze, onuce i tandetne kamasze, których skórka cienka nasiąkała wodą jak gąbka (przekonałem się o tym później). Jedyłą porządną częścią umundurowania był sukienny, angielski battle-dres (ale był krótki i sięgał tylko do pasa). No i jeszcze rogatywka z orzełkiem, która odróżniała nas z daleka od krasnoarmiejców. Teraz dopiero odczułem brak skórzanych, prawie nowych butów z cholewami, grubych bryczesów i ciepłego swetra. Wszystko to gdzieś znikło, jak wyszliśmy z kąpieli. Jak to ciepło i przyjemnie było w cywilnych „ciuchach”, a jak chłodno w wojskowym letnim wyposażeniu (a było to na przełomie września i października). Trudno – sam tego chciałem. Ale wkrótce wyfasowano nam nowe, grube płaszcze stalowej barwy i przestaliśmy trząść się z zimna.

I kompania strzelecka, w której dotychczas służyłem, przemianowana została na kompanię szkolną i szkołę podoficerską zarazem. Do-

wodził nią przedwojenny chorąży Walczak. Znał się na wojennym rzemiośle i wziął nas do galopu, zamierzając przekształcić nas w dobrze wyszkolonych żołnierzy. Wydano nam broń, ale była to broń ćwiczebna – krótkie karabinki rosyjskie ze składanym na lufie bagnetem, z przewierconym otworem do komory nabojojowej. Zaczęto nas ganiać po polach, szkolić w różnych czynnościach i przygotowywać do prawdziwej wojenki. Nie pamiętam jednak, aby choć raz odbyło się ostre strzelanie z prawdziwej broni. Teraz, gdy już byliśmy umundurowani, maszerowaliśmy ze śpiewem na ustach co niedziela ul. Warszawską aż do kościoła farnego pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP w centrum Białegostoku (nota bene, w którym byłem ochrzczony).

Nadszedł moment przysięgi wojskowej, która odbyła się podczas mszy polowej. Rota przysięgi nie zawierała wówczas sformułowań wiernopoddańczych w stosunku do Związku Sowieckiego, odwoływała się jednak w końcowych słowach do Boga. Do mszy służyli politrucy, a obok ołtarza polowego powiewały flagi: brytyjska, amerykańska, polska i sowiecka.

Na początku jesieni przybyła do nas grupa nowych żołnierzy, wśród których poznałem kilku kolegów szkolnych z Grodna. Byli wynędzniali, chudzi i słabi, ale mieli na sobie piękne angielskie nowe płaszcze

wojskowe. Okazało się, że to akowcy internowani gdzieś w głębi Rosji (chyba w Kostromie czy Kałudze), których wydobył stamtąd aliancki Czerwony Krzyż, wyposażył w płaszcze oraz żywność, przywrócił do życia i przekazał do nas. Ale wielu pozostało tam na zawsze.

Nie wspominałem dotychczas o indoktrynacji politycznej, jaką wśród nas prowadzili nasłani politycy, bo nie odnosiła ona większego skutku. Każdy z nas myślał i wiedział swoje, ale swobodna dyskusja była niebezpieczna, bo można było zniknąć (jak to bywało).

Śpiewaliśmy często i dużo różnych piosenek żołnierskich, prostych, ale też i pięknych. Oto przykład:

*„Do polskiego wojska chłopców zaciągają,*

*Chłopców zaciągają.*

*Niejednej panience, niejednej kochance*

*Serce zasmucają, serce zasmucają.*

*Nie płacz że dziewczyno, nie płacz sama z siebie,*

*Nie płacz sama z siebie.*

*Ja za roczek, za dwa, ja za roczek, za dwa*

*Powrócę do ciebie, powrócę do ciebie.*

*A jak nie powrócę będę listy pisał,*

*Będę listy pisał.*

*Ty będziesz czytała, ty będziesz płakała*

Śpiewaliśmy też różne stare i wzruszające piosenki pobudzające wyobraźnię, jak: „Oka” (szumi dookoła las), „Rozkwitały pęki białych róż”, „O mój rozmarynie”, „Wojenko, wojenko”, „Przybyli ułani pod okienko”, „Przy piechocie fajnie jest” i wiele innych.

Życie kulturalno-oświatowe było słabo rozwinięte. Wiedzieliśmy niewiele o Powstaniu Warszawskim i jego tragicznym finale.

No i przyjechali w końcu w październiku „kupcy”. Byli to oficerowie z frontowych jednostek liniowych, które potrzebowały świeżego uzupełnienia po poniesionych stratach w ludziach. Ustawiono nas w dwuszeregu, oni przechodzili, patrzyli i wskazywali palcem kto ma wystąpić. Ku swemu zadowoleniu zostałem wybrany. Nareszcie coś się będzie działo nowego - myślałem. Wydano nam suchy prowiant i po jednym kociołku na dwóch żołnierzy (menażek nie było). „Kupcy” załadowali nas (wybranych) do wagonów towarowych, bez uzbrojenia. Ruszyliśmy transportem kolejowym początkowo na południe, aż do Czeremchy, potem na zachód przez Siedlce w kierunku frontu na Wiśle. Ale to już całkiem inna historia.